PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 15. *Warszawa, 11 kwietnia 1914.* Widok 3.

Skrzynecki.

«W niejednym z pomiędzy Polaków odbywa się w duchu ciągła tragiczna z własnym Skrzyneckim walka».

M. Sokolnicki: «Skrzynecki».

1.

To — już dla nas dzisiaj nie człowiek: nie postać historyczna, nie legenda o złamanym wodzu. Z poza oblicza ludzkiego, z pod obsłon legendy, wyziera ku nam straszliwa twarz symbolu; rzecz srozsza i groźniejsza, niż jedna przegrana bitwa, rzecz gorsza niż sto lat niewoli: w niej bowiem tkwi źródło wszystkich klęsk naszych, praprzyczyna niemocy stuletniej, wszystkich bitew przegranych przekleństwo.

Ten symbol ma na imię—Pomnik Niedołęztwa.

Krocie ofiar w ciągu stu lat ostatnich ponieśliśmy, by okazalej, by niebotyczniej pomnik ów wyglądał. Tylko po to. Po to, by nie wyglądał śmiesznie. Bo gdyby nie morze krwi, które go oblewa, gdyby nie szlaki wygnańcze, które od jego stóp we wszystkie świata strony się rozchodzą, budziłby pomnik ów nie zgrozę, ale śmiech szalony, śmiech urągowiska. Padł w boju Kościuszko; zginął Poniatowski, pokotem trupa zasłano pola Ostrołęki: nie po to, aby ocalić honor polski, bo honoru ani odkupić ani asekurować nie można nawet za krwi bohaterów cenę, ale, żeby osiągnąć to jedno: uchronić nas od obłąkańczego śmiechu na własnym pogrzebie; sprawić to jedno, byśmy z własnych dziejów szydzić nie musieli, byśmy nad dolą własną mogli gorzko, krwawo zapłakać. Byśmy mieli prawo do łez nad sobą. Ulotnych, nietrwałych jak sen, tryumfów, kruchych, niemal w ręku więdnących, zwycięstw starczyło nam zaledwie na to, aby śmiech szyderstwa na zadumę smutku przetopić. Nadludzka odwaga jednostek, furja żołnierzy szturmem zdobywających... śmierć własną, oszalała rozpacz wodzów, ciskających, jak pod Ostrołęką, pułk za pułkiem najświetniejszej broni w śmiertelną paszczę armatniego ognia: to wszystko było-ż bojem o zwycięstwo? Niestety: zwycięstwo wykreślone bywało ze słownika wodzów polskich już w zaraniu każdego przedsięwzięcia. Nie o zwycięztwo podejmowano walkę, ale o prawo do żałoby po przegranej walce, o prawo do łez na mogile sprawy.

2.

Fałsz przeżarł loty naszych marzeń, iż podejmując czyn, z góry nie mamy wiary w jego powodzenie; i fałsz przegryza naszą pamięć, która pobojowiska klęsk piastuje jak łzawnice, a błędy przeszłości gotowa otaczać czcią, jak relikwie, jeżeli tylko wieńczy je krwawa korona nieszczęść.

«Natura naczelnego wodza wojsk polskich z 1831 roku, — czytamy w studjum Michała Sokolnickiego o Skrzyneckim, — dziwnie odbiła w sobie, niby obraz, cechy zbiorowego działania narodu. Sięganie po dużo — ale w pustkę; a jednocześnie nie wypełnianie rzeczy skutecznej. Łatwość sądu i uzdolnienia we wszystkim — lecz brak przed-

miotowego skupienia tych zdolności choćby na jednym tylko, pierwszym z brzega, własnym warsztacie. Wielość zobowiązań i głuchota, gdy pierwszy obowiązek wezwie. I na każdym kroku mizerna samopociecha, dogodne uchylenie, głęboka przed samym sobą, we własnej niewoli, nieszczerość. A kiedy kostur losu mało sprzyjającego, już dotyka, to tak często, pod wzniosłym pozorem, tajny w sercu wybór — chamstwo wygody».

Ten wizerunek wodza, czarną opasany obwódką, na znak żałoby, i łez pierścieniem oprawny, niby djamentem szczerego uczucia, — ową żałobą i łzami czyż nie świadczy, że naród w wodzu niedołężnym własne uczcił niedołęstwo? Że wziął z duszy wodza swego z win własnych rozgrzeszenie? Że przebaczył wodzowi swemu własne swoje nieszczęścia, aby móc sobie wybaczyć słabość przystosowania się do... warunków.

Tajemna solidarność wiąże duszę ogółu z duszą nieszczęsnego wodza: solidarność polegająca na wymianie fałszów i na kwitowaniu się wzajemnym z aktów przeniewierstwa obowiązkowi, przyjętemu na się bez woli, ale i bez oporu.

To nas upoważnia do wejrzenia, w ślad za okiem historyka, poprzez duszę Skrzyneckiego w duszę narodu; do wejrzenia poprzez historję w teraźniejszość; do ujęcia, w jednym epizodzie wojny, wielkiej stu ostatnich lat narodu naszego tragedji.

Skrzynecki, z tego stanowiska, wyrasta istotnie na symbol: z postaci historycznej przeistacza się w zagadnienie próby charakteru narodowego, w zagadnienie, tkwiące u podwalin bytu naszej przyszłości, naszego *być albo nie być*. Dybicz i Paskiewicz stali się pogromcami Skrzyneckiego. Ale pogromcą Polski stał się Skrzynecki. On był wrogiem Polski najniebezpieczniejszym, ponieważ dzierżył wodze jej w ręku. Dybicz zaścielał pola trupem polskim; Skrzynecki — gorzej: nosił trupa polskiego w sobie. Gdy więc zwyciężał Dybicz, śmierć brała górę nad Polską; ale kiedy zwyciężał Skrzynecki, śmierć brała górę w Polsce. Czyż dziwna przeto, że najdzielniejsze polskiego oręża przewagi, mimo entuzjazmu przelotnego, zajaśniały mętnie i głucho, jak gwiazdy odbite w oczach... nieżywych?

3.

Na Skrzyneckiego dziejowym obliczu winien uczynić naród twardy swój obrachunek sumienia. Z krwawą latarnią jego strasznej pamięci winniśmy zstąpić w głąb sumień własnych i charakterów. Imieniem jego z ukrycia wywoływać upiory wszystkich słabości, wszystkich upadków wewnętrznych i załamań. Skalą nieszczęść, które za sprawą jego na kraj nasz się zwaliły, zmierzyć wydajność zła tych win, które go obarczają. Pamiętajmy, że, jak mówi, historyk: «W niejednym z pomiędzy Polaków odbywa się w duchu ciągła tragiczna z własnym Skrzyneckim walka». Ta walka musi być stanowcza, i stanowcze dać musi zwycięztwo.

Od jej wyników zależeć będzie to, czy Polska pójdzie drogą życia; czy—drogą powolnego zamierania. Zwycięztwo nad własnym wewnętrznym Skrzyneckim otworzy jej drogę rozwoju. Klęska — załamie nad nią wieko wszystkich klęsk.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Ofiary zaprzaństwa. II. Inne czasy—inni ludzie. III. Socjaltalmudyści przy robocie. IV. W sprawie szkolnictwa.

I. Ocena polityki Polaków w Poznańskim opiera się u nas na pewnem złudzeniu wzroku na odległość.

Ponieważ co pewien czas dochodzą nas wieści o rozpasaniu niemieckiego polakożerstwa, ponieważ czesto mamy okazję łzy ronić nad męczennikami polskiej narodowości, skłonni jesteśmy widzieć w nich bohaterów, przypuszczając, że tylko bardzo silna obrona podnieca takie wściekłe napaści. Stąd to ustala się zwyczaj dawania na wzór rodakom z innych dzielnic energji, męstwa a nawet rozumu politycznego ich braci z pruskiego zaboru.

Bliższe wejrzenie w sprawę rozwiewa te złudzenia. Oto co o Polakach w Berlinie pisze *Kurjer Poznański:* Rodziny polskie, a zwłaszcza dzieci polskie niemczą się. Zniemczonych jest 90 proc.; wyjątki trwają przy narodowości. W Moabicie mieszka 8000 Polaków-katolików, a tylko 40 dzieci przygotowało się po polsku do komunji. Jeden z ojców, aresztowanych po zajściu w kościele, posyłał dzieci swoje na niemiecką naukę przygotowawczą; na tej zasadzie upominał się dla nich o komunję i bronił się tem przed zarzutami, jakie

mu stawiano. Jasną jest rzeczą, że taki serwilizm i odstępstwo musi rozzuchwalać przeciwników, że i OO. Dominikanie nie liczą się z drobną garstką, odosobnioną przez własnych rodaków, choć musieliby się liczyć z kilkotysięczną rzeszą parafian, z których żyją. Upieranie się przy polskości maleńkiego ułamka z ogólnej cyfry poczytywane jest jako krnąbrność, dziwactwo, wybryk swawoli — i wytrąca tym nieborakom najsilniejszą broń z ręki. Trudno dowieść, że ich prawem przyrodzonem jest modlitwa w ojczystym języku, jeśli prawo to łamie przygniatająca większość ludzi, krórym ono przysługuje. Właściwym winowajcą ucisku i bezprawia jest częściej, niż sądzimy, zdrada i tchórzostwo swoich, niż buta i tyranja obcych.

II. Liczne uwagi i komentarze do skandalicznego zajścia w kościele Dominikanów w Moabicie coraz dokładniej wyświetlają położenie, które z początku tendencyjnie próbowano maskować. Prasa klerykalna pruskiego zaboru usiłowała zrazu przenieść cały ciężar oskarżenia na władzę świecką, «protestancką» (o czem nie zapominano nadmieniać z naciskiem), narzucającą pobożnym mnichom swoją interwencję. Łudzono nawet czytelników, że władza duchowna upomni się o swą naruszoną powagę i wystąpi w obronie młodych owieczek, brutalnie z przybytku pańskiego wypędzonych. Nic podobnego się nie stało i stać nie mogło, gdyż tym razem «protestancka» policja była mile widzianym i usilnie zapraszanym gościem katolickiego zakonu. Ojciec Jakób—gdy do niego przychodzili przedstawiciele kolonji polskiej i prasy—był tak zajęty rozmową z «ważnym gościem», prezydentem policji, że nie mógł im poświęcić chwili swego kosztownego czasu. Słowem, idealna harmonja między kapturem a pikielhaubą rzuca się w oczy i całkowicie zaciera z pamięci burzliwe czasy Kulturkampfu.

Zupełnie też w porę przypomniał pewien ksiądz w pelplińskim *Pielgrzymie* sceny, które się rozgrywały w tymże samym klasztorze OO. Dominikanów w Moabicie 45 lat temu. Podczas kilku wieczorów (1869 r.) motłoch berliński dopuszczał się najdzikszych wybryków przeciw klasztorowi. Zburzono ogrodzenie, drzwi i okna kamieniami rozwalono. Pastor Viedebandt wzywał protestantów, aby się tysiącami zgromadzali i zaśpiewali Dominikanom starą protestancką pieśń walki. «Gdzie była policja berlińska z pikielhaubami i rewolwerami?» Dominikanów broniły towarzystwa katolickie; o procesach i karach na napastników mowy nie było. Kilka lat później całe duchowieństwo katolickie w swej walce z rządem pruskim apelowało do wiernych serc ludu polskiego, mobilizowało go na wiecach politycznych, wśród niego chroniło się przed pościgami żandarmów, żyło z jego wypróbowanej pobożności—i to były czasy najczulszej przyjaźni centrowców dla Polaków.

Czasy się zmieniają. Dziś księża i mnichy, odzyskawszy kościoły i klasztory, z których byli przez ramię świeckie usuwani, z kolei, przy pomocy świeckiego ramienia wyganiają z nich lud polski, niepomni, że jemu zawdzięczają zwycięstwo w walce z żelaznym księciem. «Murzyn spełnił swój obowiązek»—za drzwi murzyna! Po długich latach walki o Kościół i jego prawa, Polacy będą zmuszeni do toczenia walki w Kościele o prawa własne, a jeśli ją zaczną będą w niej całkowicie odosobnieni. Dawni sojusznicy wyzyskali ich, zamienili na swe powolne narzędzia, zamknęli im drogę do wszelkich innych aliansów przez zaszczepienie im nienawiści do całej lewicy niemieckiej, a obecnie porzucają, jako już zbytecznych i niedogodnych. Koło polskie nawet interpelować nie może, gdyż centrowcy odmówią podpisów, a od socjalistów brać podpisów nie uchodzi.

Awantura Dominikańska nie jest przecież niczem innem, jeno pierwszym ostrym starciem między polskim i niemieckim katolicyzmem, polsko-niemieckim zatargiem na kościelnym terenie. Wprowadzenie na ten teren pruskiej policji staje się wobec tego bardzo jaskrawą i gorzką, lecz wymowną i pouczającą ilustracją zasady: katolicyzm jest ostoją polskości. Powinna być punktem zwrotnym w polityce polskiej pod rządem pruskim, ale czy się nim stanie?

Czasem ciasne głowy, w które łopatą nic włożyć nie można, otwierają się, gdy w nie uderzyć obuchem, ale nieraz i to nie pomaga.

III. Do szeregu licznych już fabryk żydowskich w okręgu łódzkim, gdzie miejsce robotników polskich zajmują robotnicy żydzi, przybyły świeżo dwie fabryki w Pabianicach; wydalono z nich—bez wymówienia—150 Polaków, przyjmując na ich miejsce Żydów.

Fabrykanci, pp. Sinicki i Orbach, poszli więc za głosem swego sumienia narodowego, zgodnie z gorącymi odezwami gazet żargonowych, rabinów—i «marksistów», oczywiście «polskich».

«Polscy» bowiem «marksiści» z obozu *Kuźni*, niezmiernie czuli na krzywdy, jakie dzieją się Żydom wskutek bojkotu, zdradzają jakoś kamienny spokój, kiedy krzywda dzieje się robotnikom polskim wskutek właśnie bojkotu... ze strony Żydów. Kiedy w pewnej fabryce, również w Pabianicach, robotnicy polscy zastrejkowali, zgodnie z nauką Marksa, a fabrykant Stein, który na to tylko czekał, przyjął na ich miejsce łamistrejków — *Kuźnia* pośpieszyła, w zawiłych bardzo wywodach, potępić... strajkujących Polaków, a przygarnąć łamistrejków Żydów... Kiedy z tego powodu wyraził ktoś na łamach tejże *Kuźni* lekkie i pokorne zdziwienie, został tamże skarcony przez kogoś,

biegłego w Talmudzie, kto szeregiem subtelnych i zawiłych twierdzeń, przypominających najpiękniejsze karty Miszny czy Ghemary, udowodnił jak na dłoni, że «uświadomiony» robotnik polski powinien nietylko bez słowa protestu ustąpić miejsca łamistrejkowi Żydowi, ale nadto psim jego obowiązkiem jest bronić tegoż łamistrejka z narażeniem własnego życia przed zakusami polskich czarnosecińców...

I oto w okręgu łódzkim rozgrywa się czuła idylla: talmudyści, żargonowcy, rabini i «marksiści» podali sobie ręce i podczas gdy rugowany zewsząd «uświadomiony» proletarjat polski tuła się po najniższych kręgach piekła pruskiej poniewierki — miejsce jego zajmuje «lud wybrany», będący w tym szczęśliwym położeniu, że patronuje mu i Talmud i Marks jednocześnię, a często w jednej osobie.

IV. *Głos Młodych* (Petersburg), organ wypowiadający opinję kół postępowych młodzieży akademickiej, podjął na łamach swych doniosłą sprawę stosunku społeczeństwa naszego do szkoły polskiej.

Rozpoczyna od faktów. A więc *Głos* stwierdza przedewszystkiem, że szkolnictwo polskie nietylko utrzymało się, lecz coraz to lepiej rozwija się i doskonali, wchodząc w okres normalnego bytowania. Lecz z drugiej strony te pewne cyfry, które posiadamy w swych rękach, wskazują, że młodzież polska w coraz to większej liczbie zapełnia szkoły rządowe, tak że już w r. 1912 stanowiła w szkołach rządowych 49 proc.

Czym się napływ tak obfity do szkół rządowych tłomaczy? Działa tu poprostu fakt, że szkoły prywatne polskie, zbyt kosztowne, nie dość liczne, nie mogą pomieścić w swych murach wszystkich garnących się do średniego wykształcenia. To zaś—ciągnie dalej *Głos*—że szkoła polska nie spełnia w całości swego zadania, oczywiście tłomaczy się oportunizmem i ospałością naszego społeczeństwa.

Gdy starsze pokolenia, reprezentujące idee konserwatyzmu, grzęzną w apatji, w ospalstwie, nie dorastając odwagą swych aspiracji nawet poziomu koncesji, przez rząd udzielonych—cóż czyni młodzież? Co czyni, a przedewszystkim co myśli i czuje? — Młodzież, mówi *Głos*, czuje się bezradna, czuje się rozbita i przygnębiona w swej szerokiej masie. Trwając do chwili obecnej przy dawnych uchwałach, stoi dziś ona bezsilna, niezdolna do protestu.

I ta bezradność młodzieży jest najstraszniejsza. — Najboleśniej, pisze *Głos*, odczuwamy ją my tu, w kolonjach polskich, na gruncie uniwersytetów rosyjskich, dokąd obecnie z Królestwa napływają wyłącznie prawie wychowańcy szkół rządowych. Stosunek do tych ostatnich kolonji polskich, jako do zjawiska poniekąd masowego, z roku na rok zwiększającego się, staje się kwestją palącą, wymagającą uregulowania; tymczasem wszelkie próby wyciągnięcia względem nich odpowiednich konsekwencji, napotykają się z biernym oporem lub apatją szerszego ogółu, który zaczyna tracić wiarę w skuteczność tej akcji. I oto zjawiają się dziś coraz to liczniejsze jednostki, coraz to głośniej, coraz to śmielej wzywające, aby ogół przestał raz nareszcie liczyć się z uchwałami, gdyż «one faktycznie nie działają».

«My uważamy za swój obowiązek gorąco zaprotestować przeciw tej propagandzie zachęcającej do samowoli».

Nar.-dem. i ugoda zignorowały wolę społeczeństwa, bo im to potrzebne było. Młodzież zaś z temi względami się nie liczy.

Więc stać bezradnie na miejscu? Nie, bo niema nic gorszego od chaosu, bezsilności rozbieżności zdań. Wyprowadzić zaś z tego chaosu może nas tylko nowy ogólno-akademicki zjazd w tej sprawie. Tylko zjazd może znieść albo zmienić obowiązujące dziś uchwały, zmodyfikować je, lub potwierdzić w całej rozciągłosei i tem podnieść ich autorytet moralny—tylko zjazd to może zrobić—podkreślamy to z naciskiem.

Zjazd ten musi wyjaśnić, czy istnienie polskich szkół jest uzależnione od moralnego imperatywu, czy ten ostatni jest możliwy do przeprowadzenia praktycznego w życie, ze względu na stanowisko starszego społeczeństwa, jak również powinien określić w ten lub inny sposób nasz stosunek do wychowańców szkół rządowych.

Dziś w powietrzu wisi hasło zwołania nowego zjazdu. I my z całą świadomością wziętej na siebie odpowiedzialności stwierdzamy, że młodzież postępowa w Rosji myśl tę wita bardzo życzliwie.

A że myśl ta nie będzie przyjęta wrogo przez naszych kolegów zagranicą, świadczy chociażby odpowiednia rezolucja zjazdu w Genewie Zrzeszeń Bratnich pomocy.

Propagowanie myśli tej przynosi odrazu już tę korzyść, że wskazując młodzieży wyjście prawne i odpowiednie, zwróci jej uwagę i pracę w tym kierunku—zatrzyma robotę destrukcyjną.

Zjazd musi być należycie zorganizowany, licznie obesłany, musi posiadać cały arsenał statystycznych danych, cały obraz obecnego stanu szkolnictwa. Wszystko to wymaga wielkiej pracy, energji i solidarności. I jeżeli młodzież dokona tego — to da nowe świadectwo, iż umie zbiorowo myśleć i pracować.

Myśl, poruszona przez młodzież, naszym zdaniem zasługuje na jaknajsilniejsze poparcie. Byliśmy od początku przeciwnikami usiłowań podejmowanych ze strony bądź stronnictw politycznych bądź poszczególnych grup przekonaniowych, które narzucały młodzieży takie lub inne stanowiska wobec tej doniosłej sprawy. Jaskrawszych

wystąpień w tym kierunku, wystąpień idących wbrew hasłom przyjętej przez młodzież solidarności, nie wahaliśmy się piętnować wręcz mianem prowokacji. To wszystko skłania nas ku tym gorętszemu przyjęciu inicjatywy, przez *Głos Młodych* wysuniętej. Jedna wszakże na końcu uwaga. *Głos Młodych* wzywa czasopisma warszawskie do rozpraw nad poruszoną przez siebie kwestją.

Wezwanie to pozostanie zapewne bez echa. Dyskusja w tej sprawie nie oddałaby rzeczywistego obrazu ustosunkowania sił i poglądów w społeczeństwie. Z konieczności musiałaby być jednostronna, gdyż jeden tylko odłam mógłby stanowisko swe popierać argumentami. Argumenty zaś, nie spotykając, w polu dyskusji, naturalnego przeciwnika, byłyby ciosami, zamaszyście wymierzanymi w... próżnię.

ST. ROMANOWSKI.

Z literatury politycznej.

I.

R. DMOWSKI: Upadek myśli konserwatywnej w Polsce.

«Pismo to, — czytamy w przedmowie, — nie ma pretensji do ścisłej przedmiotowości: jest ono właściwie polemiczne.»

A więc: nie jest to przyczynek do poznania naszej rzeczywistości politycznej. Jest to wypowiedzenie wojny. Wojny komu? Myśli konserwatywnej w Polsce? — Nie. Właśnie w obronie konserwatyzmu występuje autor, a bronić go chce... przeciwko konserwatystom. Zdaniem p. Dmowskiego niema w Polsce zajadlejszych wrogów konserwatyzmu, niźli konserwatyści. Być może nawet w Polsce istnieją konserwatyści bez konserwatyzmu: takim istotnie wnioskiem zastrasza autor czytelnika na ostatniej stronie swej broszury: «Nie przesądzamy,—powiada on,—czy w społeczeństwie naszym jest grunt dla obozu istotnie konserwatywnego. Jeżeli jest, to niechże taki obóz powstanie. Ale niech będzie szczerze, uczciwie konserwatywny, niech pracuje rzetelnie nad rozwojem pierwiastków zachowawczych w życiu narodu, niech wzmacnia podwaliny jego wewnętrznej budowy, niech pod firmą konserwatywną nie prowadzi roboty negacyjnej, w gruncie rzeczy rozkładowej, która wszelkiego konserwatyzmu jest zaprzeczeniem.» (Sts. 167) Czyli: konserwatyści polscy są heretykami konserwatyzmu. Pracują pod firmą konserwatyzmu, ale na jego zgubę. Są Wallenrodami konserwatyzmu. A co najbardziej złowieszcze: są kacerzami katolicyzmu. Tak, tak! wierzajcie mi, — woła p. Dmowski. — Konserwatyści w Polsce tylko mienią się katolikami, ale nimi nie są. «Konserwatyści polscy pod umiejętną komendą swych liberalnych kierowników pomaszerowali z Okopów Świętej Trójcy do Kahału...» (str. 160).

Zdanie ostatnie świadczy że autor posiada w polityce wybitny talent malarski: treść jego wręcz prosi się o przełożenie na żywy obraz lub na filmę kinematograficzną. Istotnie, co za przepyszny pochód: na czele maszerują biskupi, prałaci i kanonicy, z urzędu zaliczający się do konserwatystów; a potym hrabiowie, książęta, margrabiowie, szambelani, tłum miter, ciżba koron, gromada herbów, łan klejnotów. Gdyby orszak rozwinąć na tle właściwych dekoracji, z perspektywą na Okopy Św. Trójcy, opuszczone w głębi, i mury Kahalu, widniejące u celu podróży, efekt byłby zapewniony.

Czy obraz powyższy, po za efektem malarskim, ma jeszcze znaczenie inne? — Trudno dociec. Autor nie daje żadnych od siebie wskazówek, jak należy zdanie jego pojmować: czy jako potwarz, czy jako dyfamację, czy może... jako wallenrodyzm? To pewno że konserwatyści, pomijając stronę efektu malarską, najniesłuszniej w świecie położyli nacisk na interpretacji moralnej rzeczonego zdania: wallenrodyzm ich zatrwożył, dyfamacją uczuli się dotknięci, pod wływem oskarżenia jęli się gęsto tłomaczyć...

— Na honor Piltza!—krzyknięto w obozie konserwatystów polskich, — i na cienie wielkiego hetmana Branickiego! Więc nie wystarcza urodzić się hrabią, księciem lub baronem, ażeby być konserwatystą? Nie dość być dziedzicem 75 folwarków, właścicielem dwóch ordynacji, dodatkiem do 1000 włókowej fortuny, ażeby czuć się konserwatystą i—mieć prawo? Na duszę Targowicy i na stryczek biskupa Kossakowskiego! Cóż za przesadne wymagania! Czy nie dość szczelnie zamykamy kabzy na potrzeby powszechnego użytku? Czy przyczyniamy się do zgubnego prądu szerzenia oświaty przez pokrywanie kraju siecią szkół początkowych? Czy ufundowaliśmy gdziekolwiek wszechnicę, mogącą stać się przytułkiem nauk kłopotliwych dla kościoła i wiary katolickiej? Czy nie trzymamy chłopstwa pod butem pańskiej naszej łaski i pańskiej groźby? Czy nie wozimy biskupów w swoich złoconych karetach i samochodach? Czyśmy nie byli na obiedzie u króla pruskiego? Czy nie trzymamy się oburącz tronu, jeśli nas garnie ku sobie, a tajemnie ku niemu nie wzdychamy,

jeśli nas odtrąca? Czy nie złożyliśmy dowodów czci dostatecznej dla idei władzy świeckiej przez wieńczenie kwiatami pomników jej przedstawicieli, a dla władzy duchownej przez łzy nad upadkiem państwa papieskiego uronione? Boże Massalskich, Potockich Szczęsnych i Kossakowskich: ty, patrząc w duszę naszą, widzisz, że pychę mamy tylko dla swoich, obcym zaś potęgom ukazujemy niezmiennie oblicza pokory i układnej, pańskiej usłużności. To czyniliśmy sto lat temu i to czynimy dzisiaj: wiernie, ściśle, konsekwentnie; czyż przeto nie jesteśmy konserwatyści? My żyjemy w przeszłości, a przeszłość żyje w nas: czyż nie to jest najlepszym gatunkiem konserwatyzmu? konserwatyzmem z pierwszej ręki? konserwatyzmem żywiołowym? Stawiono nam zarzut, że myśli nasze nie są konserwatywne: na pomnik bohatera Wileńskiego! cóż znaczą myśli, skoro mózgi nasze są konserwatywze i krew jest konserwatywna. My nie czujemy potrzeby wyznawać zasady konserwatyzmu: nie my opieramy się na konserwatyzmie, ale konserwatyzm opiera się na nas. Konserwatyzm na to jest potrzebny, aby nam było dobrze, bezpiecznie i spokojnie: nam arystokratom, nam obszarnikom, nam z łaski bożej plutokratom; skoro nam, kilkuset rodom w Polsce, jest dobrze, to znaczy, iż konserwatyzm należycie pełni swe zadanie. Bo, ostatecznie, proszę nam powiedzieć: czy konserwatyści istnieją dla konserwatyzmu, czy — jak mniemamy — konserwatyzm służyć ma konserwatystom?!...

Tak, na poły rozżaleni, na poły gniewni, tłomaczą się już od miesiąca postawieni w stan oskarżenia konserwatyści polscy. Ich wywody płyną z przeświadczenia, nienajgorzej uzasadnionego, że przynależność człowieka do obozu politycznego określa się jego stanem majątkowym, pozycją społeczną, dziedziczeniem tradycji oraz sferą stosunków towarzyskich: czynnikami przedmiotowymi. Osobiste zaś *widzimi się*, czynnik podmiotowy, w poszczególnych wypadkach może swój wpływ perturbacyjny wywierać, ale w ogólnej masie ludzkiej działanie jego neutralizuje się we wzajemnych skrzyżowaniach i — znika. Aby być konserwatystą, trzeba się konserwatystą urodzić. Konserwatystą stać się niepodobna. Można stać się najemnikiem konserwatystów *(czy nie do tej roli aspiruje p. Roman Dmowski?)*, atoli jest to zupełnie odrębna kategorja ludzi. Można stać się pastwą konserwatystów, lecz to jest znów odrębna, jeszcze inna, kategorja ludzi: należą do niej np. robotnicy, organizowani w kadry klerykalne: są-ż przeto konserwatystami, że na nich konserwatyzm żeruje?

Ale wszystkim tym argumentom, wątpliwościom i pytajnikom przeciwstawia w broszurze swej p. Dmowski twardą jak mur replikę: konserwatystą jest ten, kto wyznaje ortodoksyjny konserwatywny program, kto żuje ortodoksyjną wiarę. Nie czynniki ekonomiczno-społeczne dzielą ludzi, — twierdzi autor, — ale wyznania wiary. To efektowne zdanie podchwycił on z fal demagogji socjalistycznej *(demagodzy wszelkich autoramentów rozumieją siebie doskonale!)*; ta ostatnia, rzeczywiście, puściła w obieg tezę, iż robotnikiem bywa nie ten, który pracuje w fabryce, ale ten, kto czyta i komentuje Marksa. Podobnież, idąc za tym śmiałym wzorem, p. Dmowski bluznął w oczy wszystkim magnatom polskim, że konserwatystą nie jest ten, kto ma coś do konserwowania, ale ten, kto odmawia pacierz konserwatywny.

Na czym-że, zdaniem p. Dmowskiego, ów pacierz konserwatywny polega? — «Konserwatyzm, — czytamy *(str. 152)*, — jest siłą, obudzoną do działania przez rewolucję francuską i walczącą przeciw tendencjom tej rewolucji.» Czyli: konserwatyzm polegać ma, w swej ortodoksyjnej postaci, na organizowaniu obrony tego, co rewolucja obalała. A cóż rewolucja obalała? Spustoszenia rewolucji francuskiej były straszne: zwaliła Ludwików, zdegradowała a w znacznej części zgilotynowała arystokrację, zniosła władzę kościoła, unicestwiła przywileje kleru. Okropność! Nad trupem monarchizmu, nad gruzami przywilejów kleru i możnowładztwa, rewolucja ogłosiła powszechną wolność, równość i braterstwo obywateli: co za szkarada! P. Dmowski nie może jej grzechów tych darować i... wzywa konserwatystów polskich, by pod jego dowództwem naczelnym szli walczyć z ideami Wielkiej Rewolucji na gruncie Królestwa, Litwy, Podola, Ukrainy, Śląska i Wielkopolski. Aby szli walczyć z widmami Robespierre'ów, Maratów i Dantonów; by ratowali przywileje kleru, z upadku podnosili religję, blask przywracali tronom, stanowisko arystokratom!...

Tak brzmi *Credo* konserwatywne w ustach p. Dmowskiego. Tak, zdaniem jego, przedstawiać się powinien *realny* program *Realistów* polskich. Program, w imię którego on tylko czuje się powołany poprowadzić konserwatystów polskich z powrotem do zwycięstwa; z powrotem *(na prawo wtył!)* — na Okopy św. Trójcy.

Czy go konserwatyści polscy na swego wodza przyjmą? Niewiadomo. To pewna, że jeśli u konserwatystów nie spotka się z sukcesem, będzie mógł usługi swe zaofiarować... ex-królowi portugalskiemu.

ST. BACZYŃSKI.

Uwodzicielstwo z musu i obłudy.

III.

W ślad za Żeromskim podąża Daniłowski, któremu przesłonił bojowy zapach dymu w zupełności trzeźwą orjentację artystyczną. Doszło do tego, że niezdolny jest do wypowiedzenia się artystycznego w „Marji Magdalenie", bez partyjnych reminiscencji broszury: „Kto z czego żyje?" w odniesieniu do idei chrystusowej. Potem Strug, stojący wiernie w szeregu i wielu innych członków armji zbawienia, apostołującej narodowi. Z najmłodszych dzieci Żeromskiego lwią część wad przejął p. Kaden, który zapodział się zupełnie w koncepcjach mistrza i poczytnych sentymentach społecznych.

Przeciw tym wychodzą w pole inni uwodziciele z musu, obowiązku obywatelskiego i obłudy, o tej samej ideowej prężności. Wytacza Weyssenhoff działa nabite zdrowym zapachem stajni, ze wsią wyciętą na ryngrafie obrazkowo i chińskim cieniem zdrowej orjentacji chłopskiej „Gromady". Hetmani narodowi, jak umie, a sekundują mu krytycy i poeci w rodzaju Grabowskich i Dębickich. Na pobojowisku dobrodusznej, pewnej siebie ironji chwieje się strzępek literatury, a krytyki z dyogenesową trzeba szukać latarką. Dając narodowi aż tyle, wychowawcy zdobywają się prócz tego na bluzganie błotem w twarz jego teraźniejszości, której wrota otwarli sami, której są nieodłączną cząstką. Nauczyli się wieszczyć i wieszczą bez końca. Kiedyż przyjdzie chwila tworzenia własności narodu? Czyż zawsze będzie on nieposłusznem dzieckiem, które ściągać musi okruchy z ojcowskiego stołu i pożywać je pokryjomu? Czyż będziecie go zawsze karcić i strofować, czy z tego karcenia i biczowania i „z wysoka" ciskanych piorunów na wieki literatura polska będzie się składała?

Romantyzm polski wyprorokował Polsce wszystko, dał jej sam siebie, — dzisiaj wieszczowie poezji narodowego nieszczęścia, gdy minął czas narzekań, oddaliła się klęska, przechowują oszukańczy napój haszyszowy w ampułkach sennych, kołowrotkowych teorji i ośmielają się, jak to czyni p. Miciński jawnie pluć w twarz narodowi, stwarzają partję wieszczów, proroków, kapłanów, których dziś doprawdy nikt słuchać nie chce, czyni to jednak z musu zachęcany przez dekorowane głowy krytyków mocno siwej Młodej Polski.

Hasło „kucia w mordę" jest usprawiedliwione poniekąd w publicystyce, powiedziałbym jest jednym z jej środków walki, lecz nigdy w literaturze pięknej, pretendującej do poetyckich laurów. Bryzga ono wyświechtanem mędrkowaniem, pouczaniem narodu, nie dając mu żadnych pozytywnych wartości, ani wskazań, chlasta bez pamięci wszystko, co nawinie się pod rękę z marką polskości, pozorując bezmyślność koncepcji togą zapożyczoną od romantycznej trójcy. Wielogłowe hydry wieszczej wzniosłości nie „gryzą sercem", lecz wprost zębami drą pasy i roszczą pretensje do rozwoju świata, i narodu, od którego świadomości cofnęli się o lat kilkadziesiąt.

Manja wieszczenia i grafo-pyskliwości, idąc prostolinijnie od wzajemnego okłamywania się pisarzy i czytelników za pośrednictwem literackich rajfurów i rajfurek, zniża się do mistycyzmem pokrywanej nieodpowiedzialności myślowej, zagłusza nawet w pisarzach dużej miary artyzm i nadaje ich dziełom piętno deski, czy pasa ratunkowego, za który chwycić się winien (za ten, nie zaś inny!) ów biedny, przez nas samych poniżany człowiek polski.

Stąd lenistwo i nędza wewnętrzna, nie dająca się pokryć żadną rubryką gazeciarską, z cyklu „polonica".

Jest jeden, dwu ludzi myślących, rozmarzonych, a wszyscy żyją tem ich rojeniem, porwani pięknem słowa, nie sięgając garścią głębiej do dna treści. Wielką jest sztuka, lecz, nie dla rozwydrzonych kalek, nie dla rycerzy, błaznów i niesumiennych przykrywaczy poezji narodowego nieszczęścia.

Wraca, jak bezlitosny szyd z ducha, owa średniowieczna baśń o cudownym grajku, prowadzącym w cieniste uliczki średniowiecznego miasta gromady oczarowanych niezrozumiałą melodją dzieci, — ku zagubie.

Każdy pisarz w Polsce, by zyskać prawo istnienia, ulega z konieczności podsuwanej sobie roli uwodziciela. Żąda się odeń nie ludzi, lecz ludzkości, nie idei, lecz Polski. Wyciąga się ręce ku nieistniejącym chimerom, i pogrążeni po szyję w błocie chwalimy sobie niechlujstwo i bezstroską religijność uczuć.

Echa z litościwego świata Polski, przygwożdżonej obcasem bezwzględnego uwielbienia fikcji ideowych, i ich wpływ religijny na ludzi naszej doby — to rezonanse głupoty zaściankowej i bezdennego tchórzostwa uczuć, pozwalające na panoszenie się zwyrodniałych okruchów Młodej Polski, szczątków rozbitego korabla humanizmu z lat przedrewolucyjnych i jego haseł szczytnego uwielbienia sztuki, kultury duchowej społeczności myślącej.

Romantycy wolności napojeni wywarami trujących ziół, rwanych z pola marzeń nieurastenji porewolucyjnej, swoją etykę i estetykę zatęchłą, źle uświadomioną, narzucają Polsce dzisiejszej, czyniąc z niej jarmark i wyprzedaż zastarzałych chorób. Lecą krwawe, umarłym kradzione łzy, i wywołują złudzenie przedziwnej tradycji narodu.

Polska dzisiejsza od lat stu chodzi w takt chocholich patyków, stąpa we śnie hypnotycznym, usypiając się modlitwą i złorzeczeniem swych królów-wieszczów. Musimy mieć bodaj w marzeniu urzeczywistnienie tradycyjnych łez, krwi, męczeństwa, postaci bohaterów narodowych, — drogi pracy zamknięte, a te mityczne rozwarte na ścieżaj. Żyjemy literaturą, jak żaden naród w świecie i do słuchu nasze rzępolenie o bogatej przeszłości i minionej potędze — kabotyni i skoczki narodowe!

Kreujemy dla duszy sprawdziany zwiewne każąc im istnieć, przenosić nas w dziedzinę obcą pracy nad pogłębieniem treści życiowej i rozpostarciem skrzydeł w lot bezwzględnej odwagi, — zuchwałej myśli.

W. RZYMOWSKI.

Poeci drobnych — istnień.

Bartkiewicz — Korczak — Leśniewski.

1.

Mam trzy książki przed sobą, trzech wybitnych pisarzy: *Pierwszy grzech*—Zygmunta Bartkiewicza; *Bobo*—Janusza Korczaka; *Dzieci*—Henryka Leśniewskiego.

Wszyscy trzej przeciągają smyczkiem po strunach dusz dziecięcych: lecz jakże grają odmiennie!..

Wszyscy trzej kochają się w dzieciach; kochają się szczęśliwie; kochają się ze wzajemnością. Kochają się—i są kochani: lecz jakże różna to miłość!..

2.

Bartkiewicz kocha dzieci za ograniczoność widnokręgów; za prostotę myśli, za dziewictwo uczuć, nietkniętych zwątpieniem lub zgryzotą. W duszy dziecięcej widzi on najpodatniejsze narzędzie muzyczne do wygrania niefrasobliwej pogody, beztroskiej szczęśliwości, lub równie beztroskiej niedoli.

A dzieci umiłował tak bardzo, iż radby widzieć świat cały... zdziecinniałym.

Zauważcie: bohaterem Bartkiewicza bywa zawsze człowiek o duszy dziecka. Oczęta naiwne wobec surowego świata i myślątka bezradne wobec surowego życia, oczęta i myślątka dziecka: głowa dziecka osadzona na tułowiu człowieka dorosłego,— czyż nie tak wyglądają bohaterowie Bartkiewicza? W okazałych ciałach zdrobniałe duszyczki, zdumione tym, że ręce, którymi władają, nie są rączkami; że pięści nie są piąstkami, że nogi na których stoją, nie są nożętami, że świat, po którym chodzą, nie jest małym światkiem: to jest tworzywo artystyczne, z którego Bartkiewicz buduje opowieści.

Gdyby najpoważniejszą z postaci, stworzonych przez Bartkiewicza, gdyby najtragiczniejszego herosa jego wyobraźni ująć w ręce, podnieść pieszczotliwie do góry i figlarnym uśmiechem rozbroić, śmiałby się on do nas i fikał nóżkami rozkosznie, jak niemowlę na poduszce.

I dlatego z taką się czyta rozkoszą wszystko, co Bartkiewicz pisze. Człowiek dojrzały, choćby najciekawszy, znudzi nas zawsze, w końcu. Znudzi nawet tak mądry, jak Kant. Nawet tak wymowny jak Victor Hugo. Ale dziecko, ale niemowlę nie nudzi nas nigdy. Ono jedno znudzić nas nie potrafi. Gdyby nas dzieci nudzić mogły, znaczyłoby to, że jesteśmy sami dla siebie nudni.

Na Bartkiewicza rzucono potwarz: że opiewa jedną tylko klasę społeczną; że jest piewcą szlachty. Potwarz bezmyślna. On nie szlachtę kocha, on przepada za dziećmi; a starsze dzieci kocha bardziej, niż młode. Sądzi on, że, aby ocenić urok dziecięctwa, trzeba go podchwycić w uśmiechu, rozkwitającym na zmarszczkami pooranej twarzy. I stąd to pochodzi szczególny jego pociąg do dworków szlacheckich, do białych, koniecznie lipami nakrytych dworków. Pociąg trafnym ożywiony instynktem: bo gdzież sutszy znalazłby dla się plon, niż tam? Gdzie liczniejsze grono starych, rozkosznie malowniczych dzieciątek?

Bartkiewicz raz po raz wraca ku wspomnieniom 63 go roku. Ale wraca nie po to, ażeby piorunem żalu rozkopywać groby, jak Żeromski przypadać ustami do zaklęsłej ziemi, by popiołami poległych duszę zapłodnić, nie! On wraca ku dziadom naszym pamięcią, ażeby śmiać się i płakać nad krucjatą dzieci; ażeby śmiać się łzami i śmiechem płakać rozdzierającym nad krucjatą starych dzieci, które wojnę rozpoczęły tak, jak się rozpoczyna studencką przeciw profesorom demonstrację, bez oręża i bez planu, a zapłaciły za oną demonstrację tak, jak płaci się za najcięższą wojnę.

Dla Sienkiewicza, dla Żeromskiego powstanie Styczniowe było stosem całopalnym szlachty, dla Bartkiewicza było tragedją dzieci; i nie sentyment szlachecki wiedzie go ku przeszłości, ale pamięć krzywdy wyrządzonej przez historję dzieciom; osiwiałym dzieciom, dla których historja nie chce być tkliwą piastunką, i które na to skarżą się ustami poetów. Rok 63-ci był *minimum* tego, na co zdobyć się mógł naród dojrzały. Ale był *maximum* tego, co kiedykolwiek wytworzyły dzieci. Stąd dwa biegunowe wobec powstania Styczniowego stanowiska: Żeromski stanął na pierwszym; na drugim stoi Bartkiewicz. Żeromski może nam dać tragedję powstania; ale epopeję jego dać mógłby tylko — Bartkiewicz.

Roztoczcie przed Bartkiewiczem krwawozłoty żywot Kościuszki: on pominie krew jego trudu i złoto jego chwały; on wyśpiewa lazur jego pacholęcych dni; przypomni pierwszy poryw jego pacholęcej miłości. Pod niebem Maciejowic, gdy ranny wódz upada na pobojowisko, poeta nadbieży doń z tą samą pociechą, na którą jedynie kwiaty polne zdobyć się mogą: zapachem dzieciństwa otuli ranną głowę bohatera. Niech inni kochają dziecko za to, że zeń wyrość może Kościuszko: Bartkiewicz kocha Kościuszkę za to, że... był on niegdyś dzieckiem.

Niech inni patrzą na dzieci od strony zadań ojczyźnianych: on patrzy od strony dzieci na sprawy ojczyźniane.

To odwrócenie stanowisk przedmiotu i podmiotu jest rzeczą zasadniczą dla twórstwa Bartkiewicza: jego nie zaciekawi pogląd genjusza na atom; onby, natomiast, pół życia oddał, by móc oczyma atomu spojrzeć na genjusza. Na tym polega jego świeżość, jego oryginalność, jego udzielność książęca w sztuce.

Jakaż, naprzykład, świeżość bije z opisu gościny u Chełmońskiego, genjalnego malarza „Kuropatw na śniegu!“ Każdy gość inny, by dać w swym opowiadaniu choć cząstkę duszy Chełmońskiego, siliłby się pokazać sposób w jaki patrzy Chełmoński na świat. Bartkiewicz stosunek ten odwraca: nie patrzy na kuropatwy oczymą Chełmońskiego; ale, by Chełmońskiego zrozumieć, stara się spojrzeć nań oczyma kuropatwy.

3.

Korczak nie szuka dzieci w osobach dorosłych. Dzieci bierze w wieku dziecięcym. Osoba dorosła z psychiką niefrasobliwą dziecka byłaby dlań opłakanym okazem niedorozwoju: przedmiotem godnym uwagi lekarza, nie zaś artysty.

Lecz nawet zdrowa i pełna dojrzałość wieku męzkiego nie zaciekawi Korczaka: wiek dojrzały jest dlań tylko ruiną dzieciństwa; ruiną nad którą człek się czasami pochyla, aby podumać o tym, co było. Tylko kiełkujący człowiek godzien jest nazwy syna człowieczego; tylko w kiełkującym człowieku tkwić może utajony mesjasz. Dopókiś, czytelniku, nie odrósł od ziemi, póty zawierałeś w sobie tysiące najzupełniej boskich możliwości; z upływem atoli lat odpadały one, jak płatki kwiatu z twej duszy, odpadały — jeden za drugim, bezpowrotnie, aż obnażyły w tobie dojrzałą pustynię: oto, czym jest wiek dojrzały: pustynią na gruzach dzieciństwa rozesłaną. Gdyś wyrósł z krótkich majteczek, bastal drogi czytelniku. Nic więcej nie masz do powiedzenia· Jedno, co czynić ci wypada, to słuchać... słuchać, co mówią dzieci.

I Korczak w mowę duszy dziecięcej się zasłuchał.

Posłyszał rzeczy cudowne. Rzeczy te stara się opowiedzić najwierniej, najprościej, najdokładniej: jak je widział, jak je słyszał. Stąd płynie charakter ewangeliczny tego wszystkiego, co Korczak pisze. Beletrystyka jego przestaje być sztuką; staje się zwiastowaniem. Wartość jej polega na tym, że daje ona świadectwo rzeczom widzianym i słyszanym. Urok jej polega na tym, że jest ona odbiciem cudu. Korczak jest artystą i poetą jedynie przez to, że wszedł w rolę sekretarza, protokułującego przy swoim skromnym biurku zeznania Poezji i Twórczości dziecięcej.

Bo każde dziecko jest poetą; każde jest twórcą; każde jest genjalne. Jak dalece wiek dojrzały bywa zubożeniem dziecięctwa, świadczy fakt, że śród dorosłych Kolumb zjawia się raz na tysiąc lat, gdy śród dzieci każde niemal bywa odkrywcą równym Kolumbowi, każde czyni równie zuchwałe, kolumbowe odkrycia. Kolumb odkrył piątą część świata; dziecko, nim dorośnie, odkrywa dla siebie wszystkie części świata; nim odrośnie, tworzy boską hypotezę rzeczywistości zewnętrznego świata. W siedmiomilowych butach idzie naprzód, zdobywając w ciągu lat kilku pozycje tak rozstrzygające, tak na zawsze rozstrzygające o losie człowieka, jak język, jak ojczyzna (czymże byłaby dla nas ojczyzna bez okolicy naszego dzieciństwa?), ojczyzna nie tylko geograficzna, ale i duchowa, ta, która na mapie myśli się rozpościera, na mapie uczuć, dążeń ideałów. W dzieciństwie leży klucz do łez naszych najserdeczniejszych. Gdy człowiek dorosły płacze, płacze zawsze nad mogiłą dzieciństwa. Człowiek dorosły, w chwilach wyrzutów sumienia, w godzinach groźnego przełomu, wraca na progi dzieciństwa, tak jak powraca się na miejsce popełnionej zbrodni: wraca ku miejscu popełnionego na swym genjuszu morderstwa.

Spójrzcie na tę jednokierunkowość jakgdyby przymusem jakimś obarczonej działalności pisarskiej Korczaka! Czy każda jego książka nie jest pielgrzymką do świętego miejsca? Czy każda myśl jego nie jest upartym wracaniem do Ziemi Świętej, do świętego grobu, w którym leży umarły bóg-genjusz jego dzieciństwa?

Dlaczegóż bowiem dzieci wierzą w Boga? — pyta sam siebie Korczak. Czy nie przeto, iż wierzą w siebie, iż nie widzą granic dla swych możliwości, iż dla nich wszystko jest możliwe, ziszczalne, doścignione? Dziecko wierzy w Boga, ponieważ je na Boga stać. Jakże ma nie wierzyć, w Boga skoro wierzy, że do księżyca można dostać ręką, że promień słońca można zamknąć w dłoni? Ale ludzi dorosłych na własnego Boga nie stać. Ludzie dorośli okradli z Boga wyobraźnię dziecięcą. Wloką się za genjuszem dziecięcym, jak żebracy, na nic własnego zdobyć się nie mogąc. Jowisz, Perun, Jahwe i wszyscy inni bogowie dzierżą w rękach pioruny i błyskawice, bowiem dzieci bardzo lubią ognie bengalskie. Wszyscy bogowie czynią cuda, bo dzieci lubią niespodzianki. Wszystkie bóstwa odpowiadają gustom dzieci. Mędrcy i teologowie odarli bogów dziecięcych

z błyskawicowych piór fantazji, ale przez to nie uczynili ich szczytniejszymi. Bóg metafizyki niemieckiej stał się bogiem ociężałym i nudnym w porównaniu z bogiem wierzeń dziecięcych, ale czy w porównaniu z tymże zyskał na głębokości i powadze? Bóg wyobraźni dziecięcej tę przynajmniej ma nad bogiem metafizycznym wyższość, że znajduje zastosowanie użytkowe w świecie, że jest czynny, że jest potrzebny, potrzebny z całą wszechmocą swą do spełniania dziecięcych lotnych zachcianek; gdy tymczasem bóg metafizyków niemieckich, nie znajdując żadnej dla się roli stosownej, uprzątnięty z astronomji, źle widziany w biologji, usuwany z etyki, stał się bogiem... na emeryturze, o ile istotnie, za radą Haeckla, nie poszedł utopić się w Przyrodzie.

Ludzie dorośli tedy nie mają Boga własnego; Boga na własność mają tylko dzieci,— powiada Korczak. Starsi żyją okruchami dziecięcej wiary i dziecięcego genjuszu. Starsi więc modlićby się mogli do dzieci, jako do siły boskiej, więcej nawet: siły bogotwórczej. Modlićby się mogli do nich tak, jak żebrak modli się do hojnego bogacza. Żebrakiem bowiem i nędzarzem wobec dziecka jest każdy człowiek dorosły; człowiek dorosły uboższy jest od dziecka o najwyższą wartość w świecie: o Boga.

I zdaniem tym, zdaniem takim Korczak wzniósłby się na jeden z promiennych szczytów literatury gdyby... wpół drogi nie załamał się nagle pod ciężarem swego entuzjazmu; gdyby... uwielmożnionych przez siebie istot nie pomniejszył litością; gdyby... swoich Józków, Jaśków, Franków, Josków, Srulów i Mośków nie wpędzał swym nieubłaganym uśmiechem dobroci pod nudną, pod jesienną, pod plugawą szarugę ludzkiego miłosierdzia. Jakże upokarzający to widok: dzieci—zuchwałe jasne orlęta—człapiące się w grząskim, od łez współczujących rozkisłym, bagnie!

Korczak nie zrozumiał swego własnego stanowiska: nie pojął że stamtąd, gdzie on sroi, skąd on — *Dziecko Salonu* — patrzy, dorośli jedynie zasługują na litość; nie dzieci, ale ojcowie z książek jego wołają o litość; o litość, która zawsze bywa tylko... rozpłakaną pogardą. Tymczasem autor dorosłych darzy zaszczytną nienawiścią i pięknym gniewem; dla dzieci natomiast stale ma upokarzającą rozkochaną litość. Litość, na domiar, rozkochaną tak obosiecznie, że czasami niewiadomo, czy jest tylko rozkochana w dzieciach? Czy ponadto, czy przedewszystkiem nie jest rozkochana sama w sobie?

Korczak rozbił legendę o bezstroskiej szczęśliwości dziecka. Ale czyż tylko szczęście, niezmącone troską, zasługuje na tryumfalną bramę? Korczak opiewa dzieci, jak poeta. Ale nagradzać chciałby je, jak bankier. Wydobył on na jaw sprzeczność interesu między dziećmi a rodzicami: i słusznie! Ale dlaczego sprzeczność tę ubrał w postać antagonizmu między proletarjatem a burżuazją? I to tak dalece, że gdy jedni w autorze „Józków" i „Mośków" widzą wyłącznie piewcę doli dziecięcej, drudzy (jak np. St. Brzozowski) powitali w nim ongi iluminatora... na marginesach marksizmu?

Korczak tęsknotą wzbija się w przestrzeń między ziemią a gwiazdami: ale pierś jego zawsze oddycha tylko przestrzenią, zawartą między suteryną a pałacem.

Czyż dziwna przeto, że brak mu tchu? Że męczy się, łzy roni, klnie jak zbuntowany apostoł, szlocha, jak potępieniec?

Dzieci znajdują się w niewoli; w niewoli u starszych,—biada, boleje i przeklina Korczak. Człowiek, — woła on, — spędza poranek swój w więzieniu! W domu niewoli spędza swoją wiosnę! I, ażeby dać świadectwo prawdzie, mierzy kraty w oknie więziennym, krokami wymierza dom niewoli. Gdy zaś prostymi i nieprzebaczającymi słowami odmaluje zgrozę nieszczęścia, gdy w słowach strasznych pokaże straszną prawdę, gdy uczyni wszystko, by unaocznić konieczność rozwalenia murów więziennych i wyłamania krat niewoli, wówczas... sam przed własną oczywistością się cofa, przed własną koniecznością się broni, i aby ulgę w nieznośnym samopoczuciu znaleść, aby ulgę czytelnikowi sprawić, otwiera okno więzienne i poprzez kraty więzienia ukazuje nieprzebrany błękit swej dobroci, kryształowy błękit swego serca... korczakowskiego.

Korczak bowiem wierzy w swoje dobre, w swoje litosne, w swoje współczujące serce, i—wiarą tą dzieli się z czytelnikiem, jak najsłodszą pociechą: jak wiekanocnym jajkiem.

4.

I Leśniewski patrzy na dzieci również, jak na kwitnącą łąkę. Ale ta łąka już w jego oczach mrocznieje pod chmurą nadciągającej dojrzałości. Leśniewski wyzwala w dziecku duszę dojrzałą. Nie zajmowałoby go dzieciństwo „sielskie-anielskie," gdyby po nim nie następowała młodość „górna i chmurna" łamiąca się w „wiek męzki— wiek klęski." Gdy Bartkiewicz dusze dziecięce marynuje w osobnikach dorosłych, a Korczak w dzieciach stwierdza dusze dziecięce, Leśniewski realizuje w literaturze trzecią możliwość: w dziecku przeczuwa jego przyszłość. Dla Bartkiewicza człowiek dojrzały bywa jeszcze sielanką. Dla Leśniewskiego już dziecko bywa dramatem, tak samo, jak dla Korczaka. Ten ostatni, atoli, dziecku przeciwstawia świat dorosłych, gdy Leśniewski przeciwstawia dziecku —

wszechświat. Wszechświat z tą sumą cierpień, jaką zawiera w sobie; z tą sumą miłości, walki, nienawiści, jaka po wręby go wypełnia. W bańkach tęczowych, do których się uśmiechają, po których płaczą dzieci w utworach Leśniewskiego, odbijają się kolory wielkich uczuć człowieczych, obrazy wielkich sił, rozszerzających lub kruszących serca ludzkie. Twarze tych pacholąt są zadumane, bolesne i twożne. Każde z nich zda się spędzać złoty sen dzieciństwa pod krzyżem twardego mozołu żywota. Każdego z nich poranek zda się zapowiadać o południu burzę.

Jak będziemy duże, — oto gwiazda orjentacyjna tych dusz dziecięcych: dusz-przeczuć, dusz-tęsknic, dla których rozwijanie skrzydeł i rwanie się ku przestworom szczęścia i swobody stanowi rozkosz droższą nad ciche, tryumfalne trwanie w słońcu pogody.

5.

Najwięcej artyzmu jest w utworach Bartkiewicza. W dziełach Korczaka najwięcej jest duszoznawstwa. Natomiast poezji jest najwięcej w „Dzieciach" Leśniewskiego.

WI—SKI.

Najzawziętsi nacjonaliści.

Najzawziętsi nacjonaliści? Któż to być może?

Hakatyści pruscy? Drużyna Bobrinskich i Sawienków? Swojscy endecy za dwa grosze? Nie, nie domyślasz się czytelniku. To — socjal-demokraci żydowscy, marxiści, to — bundowcy. A uznani zostali za nacjonalistów skrajnych nie przez jakiegoś szowinistę i antysemitę polskiego, lecz przez socjaldemokratę rosyjskiego, K. Stalina.

W roku bieżącym ukazała się w druku na rynku petersburskim broszura wyżej wymienionego autora p. t. „Kwestja narodowościowa a marksizm", wydana przez „bolszewików" rosyjskich. Zadaniem jej jest nie tyle rozważenie wszechstronne skomplikowanych stosunków narodowościowych w Rosji, ile — zapanowanie nad nimi, wreszcie rozstrzygnięcie, zgodne ze światopoglądem socjaldemokratycznym w jego rosyjskim, uproszczonym wydaniu.

W części, wymierzonej przeciwko bundowcom, nie tyle są ciekawe poszczególne wywody autora, ile konkretne dane co do samego stanowiska i aspiracji Bundu. Są one niezmiernie charakterystyczne dla psychologji żydowskiej, i dlatego nie od rzeczy będzie zapoznać się z nimi.

Stwierdzają one, że bundowcy, ci bracia, krewni i kuzyni — w dosłownym i ideowym znaczeniu — S. D. K. P. L. oraz „lewicy", ci bezwzględni i surowi sędziowie wszelkiego separatyzmu i nacjonalizmu u innych, ci zajadli wyznawcy dogmatu klasowego również dla innych, — zgoła inne mają dla „swoich" żądania. Tu ani indeferentyzm narodowy, ani dogmatyzm klasowy — nie obowiązują zupełnie. Tu wszelkie środki, zmierzające do wyodrębnienia Żydów, jako całości, do izolowania ich od wpływów obcych są pożądane, dobre, konieczne.

Wówczas gdy innym narodom socjaliści żydowscy każą czekać na ustrój socjalistyczny, który wszelkie bolączki narodowościowe uśmierzy, kongres VIII Bundu postanowił walczyć już dzisiaj „o zreformowanie gminy żydowskiej i przemianę jej — drogą prawodawczą — na instytucję świecką", by tym sposobem osiągnąć autonomję narodową Żydów. Nie przeraża go zupełnie jedność autonomiczna z burżuazją żydowską, ani możliwość supremacji bankierów i kapitalistów żydowskich. Dziewiczość klasowa na ten związek nieczysty nie wzdryga się.

„Socjaldemokracja — pisze z bólem Stalin — walczy o prawa do języka ojczystego dla wszystkich narodów, lecz Bund tym się nie zadowala; on żąda, by ze specjalnym naciskiem domagać się praw języka żydowskiego, przy czym sam Bund — w czasie wyborów do Dumy IV-ej — oddaje pierwszeństwo temu z wyborców, który obowiązuje się walczyć o prawa języka żydowskiego".

Wyborca może nie być socjalistą, ale musi być szermierzem języka żydowskiego.

Wyodrębnieniem całkowitym w specjalne gminy mas żydowskich nie kończą się przecież żądania socjaldemokratów z Bundu.

Ci wrogowie wszelkiego klerykalizmu, wszelkich przesądów i tradycji u innych—żądają „zabezpieczenia proletarjatowi żydowskiemu prawa świętowania soboty, a jednocześnie usunięcia przymusu świętowania innego dnia".

Cóż to za przedziwny obraz psychologji „wybranego ludu"! Tysiącolecia żyje śród aryjczyków, zmieniają się ustroje, wiary, państwa, kultura, a on nic ustąpić nie chce z przykazań „zakonu", ani—piędzi.

Niech proletarjat całego świata pracuje w soboty, Żyd świętuje. Niech cały świat odpoczywa w niedzielę, Żyda to nic nie obchodzi. Tak było i tak będzie. I to głoszą nie rabini, nie hassydzi, lecz „wyzwoleni" z wszelkich przesądów, wywracający ustroje na nice — socjaldemokraci.

W świetle tej znamiennej psychologji nie mogą już wydawać się dziwne żądania (wyrażone na tejże VIII konferencji) specjalnych szpitali dla robotników żydowskich, motywowane tym, „że robotnik żydowski źle się będzie czuć śród robotników polskich".

Dziwi i oburza się przecież Stalin, który nie może zrozumieć, jak mogą socjaldemokraci żądać „zachowania wszystkiego, co żydowskie, konserwowania wszystkich cech Żydów, nie wyłączając szkodliwych bezwzględnie dla proletarjatu, odgradzania Żydów od wszystkiego, co nieżydowskie, urządzania nawet specjalnych szpitali żydowskich".

Przywykły rozpatrywać wszelkie zjawiska życiowe pod kątem doktryny, Stalin sądzi, że przyczyną „świeższych" uroszczeń Bundu jest — teorja Bauerowska autonomji narodowościowej. Ona to weszła klinem w mózgi bundowców i zaciemniła myślenie. Gdyby nie Bauer...

Stalin nie śmie myśleć samodzielnie; lecz z kilku zdań jego sądzić należy, że Żydów wogóle za naród nie uważa. Wybryki bundowców traktuje jeno, jako — odruchy sekciarskie, partyjne.

Z tego też tylko stanowiska oburza się na stanowisko bundowców na IX konferencji tej partji w kwestji waśni między robotnikami polsktmi i żydowskimi podczas strejków ostatnich i na rozlegające się tam głosy. A głosy te są istotnie ciekawe dla nas niezmiernie. „My traktujemy — mówił jeden z bundowców (cytuję za Stalinym) — robotników polskich, którzy nas rugują, jako „pogromszczyków" (Bundowcy, pomimo gwałtownego domagania się praw języka żydowskiego, mówią i piszą przeważnie po rosyjsku), jako żółtych, nie podtrzymujemy ich strajków, łamiemy je. Powtóre: odpowiadamy na rugowanie—rugowaniem, na niedopuszczanie robotników żydowskich do fabryk — niedopuszczaniem robotników polskich do warsztatów ręcznych".

Oko—za oko, ząb—za ząb. W myśl przykazań Zakonu.

Głosy te, sądzić wypada, nie powinny były być nieznane redakcji *Kuźni*. I doprawdy żałować należy, że, pouczając tak gorliwie robotników polskich o konieczności łączności i solidarności klasowej z proletarjatem żydowskim oraz piętnując tak zjadliwie antysemityzm zoologiczny mieszczaństwa polskiego, nie znalazła sposobności, czy miejsca, by przywołać obóz bratni do „porządku klasowego". Czyżby okulary doktryny były tak ciasne, że nie pozwalają widzieć nietylko zjawisk życiowych, lecz nawet tego, co jest napisane na papierze czarno na białym? Byłoby to smutne, lecz nie nieoczekiwane.

Bo w mózgach naszych doktrynerów są szufladki, są przegródki. Na niektórych z nich są napisy: nietykalne. Do takich nietykalnych należą wszelkie kwestje, związane w ten lub inny sposób z Żydami. I może doktryner polski zwalczać nacjonalizm — wogóle, polski — w szczególc, lecz nie może słowa powiedzieć o nacjonalizmie żydowskim, bundowskim. I będzie pastwić się doktryner polski nad wszelkiemi odruchami samoobrony narodowej polskiej — w tej, czy innej dziedzinie, lecz nie widzi i nie chce widzieć przejawów wojowniczości wyłącznie rasowej Żydów.

Bezceremonjalność cyniczną bundowców — tylko tym upośledzeniem doktrynerów polskich objaśnić należy. Zapominają jednak socjaldemokraci żydowscy, że robotnik polski coraz jaśniej i coraz samodzielniej na oczy patrzeć zaczyna.

J. PAPINI.

Elegja.

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

Kiedy, z nastaniem nocy, pod cieniem czarnych pałaców, wyglądających na więzienia, wracam do swej wieży, w której życie spędzam na oglądaniu trzech wieżyc bliźnięcych: idąc bez pośpiechu, zatrzymując się przy każdej smudze światła, która mi przypomina świat przezemnie porzucony, myślę o niezliczonych drzwiach przez które nie wchodziłem, o niezliczonych dłoniach, których nie pieściłem, o niezliczonych warkoczach, których nie rozplatałem i o tych wszystkich rzeczach, którebym mógł był zobaczyć, i o wszystkich snach, które powinienem był prześnić, o wszystkich tajniach, których nie odkryłem, o wszystkich nieprzyjaciołach, których mógłbym nienawidzieć, i — płaczę wtenczas nad swą ślepotą zadowoloną, nad przeraźliwym obszarem swej niewiedzy i nad kruchością swych pragnień — pożarów, które świat cały oświecają i gasną nagle, jak zdmuchnięte.

Jakże pali mnie wówczas wspomnienie tego, na co ważyć się nie umiałem, pamięć chwil jedynych, w których coś mogło się było spełnić, a które się nie powtórzą więcej, pamięć dróg, które rozwarły się niespodziewanie, jak głębie morskie, aby zamknąć się natychmiast, nim je zoczyć mogłem; lasów, z którymi się rozminąłem, a które były przeznaczone dla mnie, które miały przeistoczyć mą duszę, i których nie spotkam po raz wtóry.

Serce we mnie wali tak mocno, że przystaję w cieniu wysokiego pałacu, jakbym czekał na coś, co ma odzew dać mojej tęsknocie: cichy akord skrzypiec, burzliwy tentent konia, pogłos piosenki smutnej, jak żar zmysłów.

I te chwile, myślę sobie, mijają także, zapadają w wieczność, chwile jedyne, ruchy i gesty niepowrotne, stosunki nieodwołalne; dni, go-

dziny i minuty niecofnione na wieki. Któż zliczy te wszystkie rzeczy, których nie widziałem nigdy [i których nigdy nie ujrzę, te dźwięki, których nie słyszałem i nie usłyszę nigdy; dzieje, których nie poznałem i o których nie dowiem się nigdy; namiętności, których nie doświadczyłem, i których nie doświadczę nigdy; zagadki, których nie pojąłem i których nie rozwiążę nigdy...

Ileż to żywotów straconych dla jednego człowieka! Ile kształtów, ile widoków straconych dla jednego świata! Ileż możliwości, którym nigdy nie będzie sądzono oblec się w ciało: ile dążności, które nigdy nie staną się potęgami: ile spotkań i rozłączeń, które ani razu się nie zdarzą!

Czyżby świat był tylko wspomnieniem tego, coby być powinno? Czyżby życie moje było tylko cieniem tego, którym żyćbym powinien?

I pod cieniem wysokich czarnych milczących pałaców, *będących* więzieniami, płonącymi dłońmi dotykam zimnych i twardych kamieni, i czuję, że twarz moja staje się czerwona, — nie z nikczemnego wstydu, ale z rozpaczliwej gorączki — z rozpaczliwej gorączki, którą wybucha miłość rzeczy niemożliwych.

Ale kiedy wstępuję na swą wieżę i widzę znów przed sobą trzy wieżyce bliźnięce, tak czarne w niebie ciemnobłękitnym, i widzę znów w mroku swego łóżka dwoje oczu nieruchomych i błyszczących, poczynam raz jeszcze się uśmiechać, lecz—gdy się zdarzy, że zobaczę uśmiech swój, odbity w zwierciadle, nie staje mi sił, by powstrzymać w sobie dreszcz niewypowiedzianej zgrozy.

HELION.

Meandry.

Niech inni do Cię modlą się o cnotę,
O miłość, szczęście, przystań cichą, lub mogiłę...
Ja: mógłbym tylko modlić się o siłę!
Wszystko inne jest tylko na sile nalotem,
Jako na stali miecza rdzą bywa, lub złotem
Wszystko: krew, cnota, sława lub... wspomnienie [miłe.

***

Pragnąłbym dla cię namiot stworzyć
We włosów czarnych twych oplocie,
I potem głowę w tym namiocie
Do snu, jak motyl, lekko złożyć.
Śmierć samą... w pocałunku spożyć:
Umrzeć? Nie: spalić się w pieszczocie.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Jeżeli (pomimo uwag, podniesionych przez nas w ostatnim numerze) za wystawienie „Pigmaliona" możemy być Dyrekcji Teatru Polskiego szczerze zobowiązani, to nie mniej możemy być wdzięczni tejże Dyrekcji za ułatwienie prywatnym inicjatorom wystawienia w tymże teatrze „Baśni o królowej róży", feerji dla dzieci p. Gerson-Dąbrowskiej, w której przedewszystkiem ujawnił się talent reżyserski p. *Leo Roze.*

Kwiaty są treścią sztuki: królowanie róży i zawiść georginji. Ta ostatnia prostuje się pośród orszaku ziół jadowitych gestem zbrodniczym szekspirowskiego Antonia z „Burzy"; cofa się na pół drogi przed zerwaniem korony królewskiej i z pokorą (motyw Orzeszkowej) przystaje do wielkiego orszaku, który, przeczekawszy burzę z nenufarem, roztworzy się do słońca szeroko i rozgłośnie.

Analizując przedstawienie tej baśni, musimy z góry zaznaczyć, że w inscenizacji nie mieliśmy do czynienia z dojrzałym dziełem Sztuki, ale raczej *z szeregiem szukań*, czyli tem, co nazywają Francuzi tâtonement. Niemniej jednak przedstawienie, które widzieliśmy, kryło w sobie taką moc momentów szczerze twórczych, takie bogactwa inwencji na drogach nowych, ledwie wytyczonych, że nie mówić o tem przedstawieniu byłoby tem samem, co przejść do porządku nad czemś bardzo twórczem i żywem w Warszawie, nad czemś, co garnie się do światła i przez to właśnie jest tak drogie, że jeszcze tak bezświadome siły, którą niesie.

P. Roze, mając do dyspozycji baśń napisaną bezpretensjonalnym wierszem, kierowała się w reżyserji tejże baśni tem, cobyśmy mogli nazwać *synestezyjną muzykalnością*: przez gesty i rytmy zespołu grających dzieci starała się wydobywać w widzach głęboko ukryte skojarzenia najbardziej „podstawowych" zabarwień wzruszeniowych, wiążących człowieka w Jedno z przyrodą samą. Dzieci, przedstawiające poszczególne kwiaty (kostjumy p. Gerson-Dąbrowskiej), na skutek gestów, poddanych im przez p. Roze, przechodziły po przez granicę malarsko ujętych symbolów na wykładniki daleko głębsze: mieliśmy przed sobą charakter kwiatów, aby powiedzieć duszę kwiatów. Jak róża malarsko nie może być lilją, tak i gesty upersonifikowanej róży nie mogą być gestami upersonifikowanej lilji... Stworzyć gesty dla poszczególnych kwiatów... po przez gesty ujawnić niebywały świat synestezji, o których często sami nie wiemy... oto zadanie, na którego drogach poruszała się twórczość inscenizatorki feerji dla dzieci.

Królowa-róża pochyliła się zmęczona. Sen przynoszą wchodzące maki: skupione jedną masą posuwają się niepowstrzymanie, szeroko, wahającym gestem rąk; królowa coraz bardziej opada... maki, stanąwszy za nią, jednością skupionych ciał i głów, taktem sennego zamroczenia pochylają się w prawo i lewo... teraz już tylko głowy. W nas: maki, sen, kołysanie miarowe, krzykliwość barw, stłumiona przez zagasłe światła... wszystko sprzęga się w jeden nierozdzielny synestezyjny akord: jesteśmy odurzeni gdyby

przez opium... bezświadomie wchodzimy w letarg. Na scenie rozwierają nietoperze skrzydła, podnoszą z nas lęki... walczą z tym opium.

Takie kojarzenia umiała w nas wydobywać p. Roze ze sceny. Dlatego widzieliśmy jak podczas burzy, która wtargnęła piorunem, wszystkie kwiaty drżały i stuliły głowy, dlatego widzieliśmy, jak motyle igrały ze sobą, jak żaba czujną strażą skupiła się przy róży i jak lilja przeczystemi, spokojnemi linjami przed tą różą rozkwitła. Szaleje miały jad, borówka gładkość i potoczystość czerwieni, muchomor po przez ruch ujawnił misterną równowagę szerokiego kapelusza. Po przez gesty i rytmy zaczęły budzić się w nas odwieczne drgania natury... usłyszeliśmy na naszym dnie dawno przebrzmiałe kroki, które nagle powróciły, jak w baśni, niewiadomo skąd i dlaczego w całej grozie. Markiz-słonecznik, falujący wiatr lub rosa, budząca w róży hiratycznie-święty ruch otwarcia oczu, sowa, promyk słońca, grom czerwony Zeusa... cała przyroda wschodziła na scenie nie w słowach, ale pod maską odwiecznych, zawsze żywych symbolów.

Na drogach twórczych usuwać trzeba kładnące się pokotem progi, dookoła tych dróg czyhają przepaści. Są zatem i *błędy*, nawet duże, ogromne nawet powiedziałbym błędy w reżyserji omawianej feerji, błędy, przed którymi utalentowana inscenizatorka nie zdołała uciec. Aby uchronić się od zgrzytów, musi p. Roze wypisać sobie dewizę Appia z Hellerau: *le balet est mort*... i nigdy nie inscenizować niczego na gotowej muzyce. Walce, barkarole, kancony są całością zamkniętą, które nigdy przenigdy nie mogą być związane z takim światem, jaki budzi p. Roze! Do gestów i rytmów nowych należy stworzyć muzykę... lepiej może powiedziawszy *echo*, które zdołałoby podnosić i podkreślać odkryte rytmy i gesty. Muzycy na tle rewelacji synestezyjnych kojarzeń, muszą stworzyć nie fundament sonoryczny, na którym oprze się życie sceny, ale szczyty, finale tego życia... opar nad wszystkiem najsubtelniejszy: muzykę dźwięków ledwie zaznaczonych, które *dopowiedzą* od czasu do czasu to, czego gest nie zdołał dopowiedzieć. Będzie to poszum, pęknięcie jakiejś jagody, spadnięcie szyszki, cykanie łąki przed burzą lub cisza, która zapadnie na tle słońca, zakrywanego przez chmury.

W t. zw. reformie teatru (Craig, Appia, Dal Croze) człowiek staje się z powrotem centrum sceny... muzyką stają się jego gesty... dekoracja zewnętrzna przestaje być bytem niezależnym, a jest już tylko emanacją z wydobytych gestów. W tym znaczeniu też muzyka sonoryczna, jak i muzyka światła stają się tylko dekoracją. Naturalizm padł, dogorywa w przedsiębiorstwach finansowych... po przez powódź szukań wraca na świat Teatr... który przez Sztukę... jest drogą do Religji. Człowiek odkrywa w sobie z powrotem syntezę świata, oddech kwiatów, balsam burzy, kolebanie potoków...

Budować, budować na tem wszystkiem oto praca, godna Bogów!

W literaturze świata jak perły lśnią tu i owdzie baśni o kwiatach i żywiołach elementarnych matki Gei i ojca Uranosa. Powstawały jako oddech głębokich, czystych i przez kryształową bezpośredniość uświęconych natur. Trzeba te baśni z kurzu wydobyć, przełożyć na polski język, do inscenizacji podnieść, zatem do szczytów twórczości dramatycznej. Nowe drogi dla polskiej twórczości, dla polskiej sceny... takiej, o jakiej marzył ten, który stworzył „Balladynę".

Teatr Polski zamierza podobno wystawić „Balladynę". Porywa się *na rzecz niezmiernie trudną*, na *szczyt szczytów feerji liryczno-dramatycznej* na scenie. Tylko głębokie synestezyjne akordy mają prawo wzejść na deskach teatralnych, jako widomy znak Goplany, Chochlika, Skierki, a przez to i całego zespołu przejrzyście panteistycznie usymbolizowanych tonów. Dekoracje podobno ma stworzyć Ruszczyc, który już ongiś swoją „Orką" i „Balladą" przypominał polskiej duszy szerokość i czystość wielkich lotów. Najcudowniejsze jednak dekoracje nic nie pomogą, jeśli sama inscenizacja reżyserska nie wyjdzie z konwencjonalnej banalności dzisiejszego teatru na synestezującą muzykę Słowackiego. Do tej muzyki jest kluczem sama „Balladyna". Aby zaś taką muzykę wydobyć, należałoby Dyrekcji Teatru Polskiego, sądzę, sprządz p. Roze do pracy z Ruszczycem: pewne nieujawnione dotąd walory sceniczne Słowackiego pokazałyby się może nagle przed naszym zdumionym wzrokiem, walory, które ledwieśmy dotąd przeczuwali.

OTTO.

Wrażenia.

BRONISŁAWA WŁODKÓWNA. Proste dzieje. Wspomnienia.

Proste dzieje: pamiętnik zawiedzionego serca. Rzecz byłaby nieznośnie nudna, gdyby panna Władkówna nie była pisarką urodzoną, pisarką z krwi i kości. A kto bywa pisarzem urodzonym? Ten, kto nie uprawia pisania jako sztuki, ten, dla którego pisanie bywa naturalnym sposobem potęgowania własnego życia; funkcją życia, środkiem ku zrozumieniu świata i — zrozumieniu samego siebie; oparciem wobec przeciwności, osłoną przed wrogiem, lub też wyzywaniem wroga. Ani umysłowość, ani dziedzina uczuć, torujących sobie drogę w twórczości panny Br. Wł. nie są rozległe: a jednak wciągają one czytelnika w swój wir, przykuwają cudzą myśl i serce do swego łożyska. Czym się to dzieje? Oto, poprostu: każda książka bywa dla nas ciekawa, która otwiera wstęp do czyjejś duszy. Składać wizyty w salonach — to rozrywka snobów. Ale odwiedzać dusze: to — rozkosz wybranych.

Książki nadesłane do Redakcji.

Tadeusz Konczyński: «Bunt» Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa Warszawa 1914. Lnblin — Łódź — Kraków — New-Jork.

Emma Jeleńska: «Trzy pokolenia». Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1914. Warszawa — Lublin — Łódź — Kraków — New-Jork. Str. 278.

E. M. Dell: «Szlakiem orła». Przekład z angielskiego H. J. P. Powieść. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. Warszawa. L. Fiszer w Łodzi. Str. 438.

Piotr Jan de Béranger: «Piosenka». Wybór przekładów polskich. Układ Władysława Nawrockiego. Słowo wstępne Jana Lorentowicza. Tom I i II: Str. 205+196. «Muzy» — biblioteka literacko-artystyczna pod redakcją J. Lorentowicza.

Mr. Robert-Huch Benson «Les Confessions d'un Converti». Traduit de l'anglais avec l'autorisation de l'auteur par Teodor de Wyzewa-Librairie Perrni, Paris.

Anatole France: «La Révolte des Anges». Roman. Paris.

Alaert Dauzat: «L'expansion italienne». Paris.

Giovanni Papini: «Sul Pragmatismo». Saggiericerchi Milano 1913.

Michał Sokolnicki: «Skrzynecki». Studjum strategiczne. Tom II wydawnictwa historyczno-wojskowego, podjętego przez Karola Rzepeckiego w Poznaniu. Pod redakcją d-ra Marjana Kukiela we Lwowie. Ilustracje Zygmunta Pozwadòwskiego. Str. 126. Cena kop. 60.

Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego. Rok 1913 W opracowaniu Biura Pracy Społecznej pod kierunkiem Władyława Grabskiego. Warszawa, Skład główny u Gebethnera i Wolffa. 1914.

Jan St. Mar: «Pajęczyna». Powieść. Str. 202. Warszawa 1914. F. Hoesick.

Odpowiedzi Redakcji.

Gronu przyjaciół Prawdy w Nałęczowie. «Kronika Krakowska» p. Kadena nie jest kroniką zdarzeń, ale zbiorem szkiców, odbijających tło obyczajowo-kulturalne Krakowa w kompozycjach artystycznych.

Ofiary.

Na fermę imienia Świętochowskiego w Bratnem: Wiktor Strzembosz z Sosnowca rb. 3.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

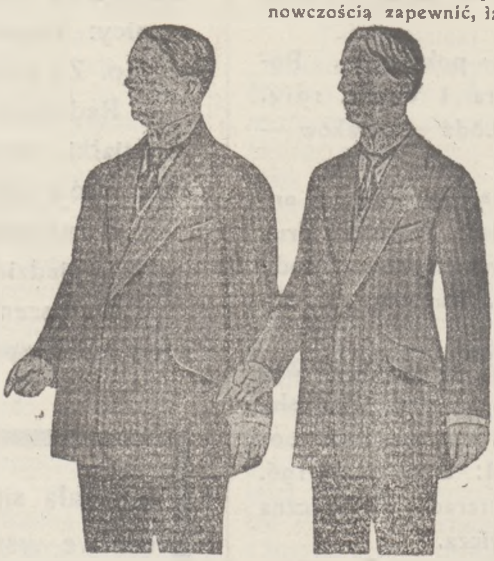
Z drugiej zaś strony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA" (IODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.



Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyriny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę" Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODYRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal".

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.
Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.